



Szacowni Goście, Znakomici świadkowie!

W bieżącym roku, roku wielu rocznic związanych z miejscem, w którym jesteśmy, roku wielkiej przeprowadzki, a i roku zmiany formuły przyznawania *TABULKI*, czyli honorowego wyróżnienia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej, z czym się wiąże otrzymanie tytułu *Optimus Auctor Silesianus Anno Domini MMXIX*, kapituła w swym wyborze była jednomyślna. A można powiedzieć, że po głosowaniu na twarzach jej członków pojawiła się frojda. No dyć!

Albowiem, albowiem uhonorowany autor niczym biblioteka stoi na straży. Nie tylko pamięci – co jest oczywiste, ile bardziej na straży świadectwa. Śląskiego zapatrzania. Na świat. Który swoją szorstkością kaleczył niejednokrotnie jednostkowe zadurzenie, gdzie na finale obejmował czule, ale też zdecydowanie, chciałoby się powiedzieć jak zapach z einfahrtu, który przecież momentami trzymał pion na tyle wyraźnie, że aż boląco.

Książki śląskiego autora w wersji dostojnych kodeksów ale także w wydaniach audialnych niczym drahy puszczane na hołdzie wylądowały w bibliotece.

Spaceruję zatem dostojnie po wysokich piętrach naszej biblioteki, gdzie słynne migotanie gwiazd przechodzące przez przezroczystą kopułę dachu, unosi jak zwykle serce, które mimowolnie odrywa stopy, unosząc je kilka milimetrów nad ziemią. Spaceruję i zatrzymuję się przed regałem, gdzie leżą książki autora lubującego się w nieodległej przecież przeszłości

w pisaniu opowiadań SF. Sięgam jednak po inną. Po tę jedną. Wiedziony opowieściami biegłych w czytaniu. Sięgam z oporami po nią. Opasłą. Odważnie sięgam – należy mi to przyznać. Niecałe czterysta stron rozpisane na rozdziały w formule 4 plus. I widać, że autor się powstrzymywał. Wykazał się wielką dyscypliną, która pozwoliła stworzyć dzieło literackie dużego formatu. Aż boję się pomyśleć, a cóż dopiero powiedzieć – najlepsza literacka śląska książka, jaka się do tej pory ukazała.

I już mógłbym w tym miejscu skończyć. I nie męczyć się, zostawiając pole celebracji.

Pomny jednak znaczenia chwili, która przecież historyczna jest, pójdę tropem opowieści autora choćby parę kroków. Pójdę niechętnie. Pójdę z ociąganiem, pójdę z rozkoszą. Pójdę przez nad wyraz skomponowany gąszcz. Ciężki i magmowaty. Oblepiający. Gdzie czas zawarty generalnie pomiędzy rokiem 1906 i 2014 symultanicznie przeskakuje co akapit, nicując przyczynowo skutkową materię zdarzeń, których akcja – poza swego rodzaju nieodzownym przecież apendyksem wepchniętym pomiędzy Rozdział II i Rozdział III, o burzącym konstrukcję utworu tytułem: „Loretto. Höhe 165”, któryż to fragment jest chyba najbardziej przejmującym opisem w literaturze polskiej szaleństwa frontowego I wojny światowej – [a zatem, których akcja powieści] rozgrywa się w przestrzeni wyrysowanej i dołączonej do książki mapce, pełniącej funkcję wyklejki. Dla ludzi spoza, w jakiś sposób być może pomocnej – nie wiem. Topografia miejsca opisana dwujęzycznie definiuje znany nam śląski świat. Zawarty pomiędzy Rauden a Gleiwitz, czy też Rudami i Gliwicami. Z całą jego przekłętą historią. I ukochaną. I ufifranōm w marasie – bo trzeba dodać, że język polski, w którym głównie snuje swą opowieść autor, w sposób naturalny i zwyczajny przechodzi w język śląski, a po chwili niemiecki. I nie ma w tym żadnej sprzeczności (o ironio, w niektórych partiach widać jak wiele te języki łączą). Co ciekawe, bardzo denerwujący z początku – przynajmniej dla mnie biednego – zabieg formalny z posiatkowaniem czasu i przechodzeniem między językami, nie rozmiękcza powieści, nie rozrywa jej, nie dziurawi, nie strzępi, ale o dziwo – skleja i łączy. Na finale w sposób bardziej dojmujący opisuje kondycję ludziów zamieszkujących ten skrawek planety. Bo przecież o tym jest powieść. Jak rzekłem wybitna. O nas samych, tukej. Rozciągniętych w czasie – jak byty w Einsteińskim świecie względności. Gdzie czas nie jest jednorodny. Ani deklaratywny – jak chcą propagatorzy, a nawet jak my sami, przyzwyczajeni do formułek powgniatanych nam do głowy. Zabiegi formalne zastosowane przez autora pomagają nam w uświadomieniu, że historyczny proces kształtujący naszą współczesną postawę, za który tu na Śląsku odpowiedzialność ponoszą

zmieniające się jak w kalejdoskopie byty państwowe, w swoim bezrozumnym działaniu nie mógł stworzyć kogoś innego. Stworzył bowiem osobnika – płci każdej, takiego bardziej trolowatego. Chciałoby się powiedzieć kostropatego. Wewnętrznie niezgrabnego. Może niedorobionego, któremu bliżej do praskiego Golema, niż bitnego koguta w stylu Twardowskiego, albo barona Münchhausena. Obraz raczej nieradosny. Ale może, jak chce autor, prawdziwy. Z którym należałoby się zgodzić. Tacy jesteśmy. Z jednej strony, rzecz jasna. Bo z drugiej, czytając te wszystkie słowa wylane na bezmiar czterystu stron, czuję pod opuszkami glinę. Porowatą i popękaną. Suchą. Ale przecież wrazeniowo chrupiącą jak skórka dobrze wypieczonego chleba, pod którą skrywa się smakowity mięsz. Dla konesera oczywiście. Albo pomyleńca. Bo jakże tu nie oszaleć? Ale przecież można oszaleć parokrotnie i umrzeć parokrotnie. I robić wrażenie, że wszystko jest na swoim miejscu. I napisać list do rodziców, jak powieściowy Josef Magnor:

„ Liebe Eltern. Ociec. Mamulka a braciki. Przyśłom Mie Patentknopfen piynć dwaciścia a Tuste w putnie, Cygaretow Abo Tabak do Fifki, yno dobry. Przyśłom Mie tysz jaki Handtuch, Fuzekle. Mlyka. Käse. Litewska można by Mie kupiyli, yno kaj kupić, niy wiym. Piynidzy mi przyśłom choby 12 Marek. U Mie wszisko dobrze. Widzołżech englischer Panzer. Srogi boła szczyłom. Jezech zdrow. Napiszom co doma. Z Bogiem. Die besften Grüße.Euer Josef.”
A potem żyć, jak gdyby nigdy nic. Jak gdyby nigdy nic. A potem znowu oszaleć. I umrzeć. I żyć.

Rozglądam się po półce z książkami autora. Dużo ich, ale bez tej trzymanej w ręku autor byłby tylko majstrem. A tak jest majstrem nad majstry. Do nos.

Szanowni Państwo!

Tytuł Optimus Auctor Silesianus Anno Domini MMXIX otrzymuje oczywiście Szczepan Twardoch.

Krystian Gałuszka
Ruda Śląska, 27 listopada 2019 r.